

1. Niepodległość

[Ustawa konstytucyjna z dnia 23 kwietnia 1935 roku, za: DzU RP, nr 30, poz. 227 (artykuł 1)
[w:] *Dzieje Polski 1918–1939: wybór materiałów źródłowych*, red. i oprac. Władysław A. Serczyk,
Kraków, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1990]

I. Rzeczpospolita Polska

Art. 1. (1) Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli.

(2) Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia na pokolenie.

(3) Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę państwa.

(4) Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem.

[Ustawa o Świącie Niepodległości, Warszawa, 23 kwietnia 1937 roku, za: DzU RP, 1937, nr 33, poz. 255 [w:] *Dzieje Polski 1918–1939: wybór materiałów źródłowych*, red. i oprac. Władysław A. Serczyk, Kraków, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1990]

Art. 1. Dzień 11 listopada, jako rocznica odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego Wodza Narodu w walkach o wolność Ojczyzny – jest uroczystym Świętem Niepodległości.

Art. 2. Dzień 11 listopada jest dniem wolnym od pracy.

Art. 3. Wykonanie ustawy niniejszej porucza się Prezesowi Rady Ministrów i wszystkim ministrom.

Prezydent Rzeczypospolitej: I. Mościcki

Prezes Rady Ministrów i Minister Spraw Wewnętrznych: F. Sławoj Składkowski

Minister Spraw Zagranicznych: J. Beck

[Z przemówienia radiowego gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego z okazji 15 rocznicy odzyskania niepodległości, listopad 1933 roku [w:] Kazimierz Sosnkowski, *Wybór pism*, wybór i oprac. Jerzy Kirszak, Wrocław, Ossolineum, 2009]

[...] Piętnaście lat temu zbudzona do życia Rzeczpospolita znalazła się w położeniu przerastającym, zda się, możliwości ludzkie. Gdy świat cały zaczyna odpoczywać



po długotrwałej burzy, wokół ziem polskich, zniszczonych, wyczerpanych, wyciutych ze wszelkich zasobów, wokół zgliszcz jeszcze dymiących, zamkniętych fabryk i warsztatów, wokół pól zoranych granatami, rozpala się szereg nowych pożarów. Międzynarodowych aktów prawnych, konstytuujących młode państwo polskie – nie ma jeszcze żadnych. Trzeba bić się o istnienie, bić się o granice, pamiętając, że przede wszystkim od nas samych zależy będzie ich przebieg, że pióro dyplomatów lubi obwodzić kontury wykreślone zwycięskim bagnietem.

[...] Kierunek wychowania naszej młodzieży jest dla obrony narodowej zagadnieniem kapitałowym. My starsi – mam tu na myśli przedwojenne pokolenie bojowników o niepodległość – wzrastaliśmy w warunkach zupełnie odmiennych od warunków, w jakich rosną i dorastają nasi synowie. Myśmy musieli niepodległość zdobywać, nasi synowie muszą ją utrzymywać, bronić jej w ramach własnej państwowości. Myśmy byli pokoleniem romantyków; młodzież nasza musi pracować pozytywnie przy własnym, polskim warsztacie. I romantyzm, i pozytywizm, podjęte jako prądy uczuciowe, mają swoje okresy, gdy w sposób szczególny odpowiadają potrzebom narodu. Romantyzm ze swoją poezją i kultem bohaterstwa był niezbędny w okresie niewoli, jako bezcenne źródło podnieć emocjonalnych do buntu i walki, do oddawania z siebie ponad obowiązek. Ale w czasach powstań narodowych do szeregu staje niewielu – do obrony własnego państwa prawo zmusza wszystkich. Są to różnice bardzo istotne. Państwu potrzebny jest przede wszystkim wysoki poziom przeciętny ogółu obrońców; tej potrzebie należałoby podporządkować metody kształtowania poprzez młodzież naszej duszy zbiorowej.

Mam wrażenie, że w dotychczasowych metodach szafujemy nieco nadmiernie pojęciem bohaterstwa. Przypuszczać należy, iż w każdym narodzie, moralnie i duchowo zdrowym, w momentach przełomowych, w godzinach próby, znaleźć się muszą jednostki o cechach bohaterskich. Są to ludzie umiejący oddawać się sprawie ponad obowiązek, obdarzeni dostatecznie bogatym zasobem energii psychicznej, by móc za sobą porywać i prowadzić innych. Cechy te jednak są darem bożym i wątpię, by dały się stworzyć przez wychowanie.

Jestem szczerze przekonany, że wśród celów i zadań wychowania narodowego kult obowiązku należy dźwignąć na wysoki piedestał.

Gdy ogół obywateli spełnia sumiennie swój obowiązek, siła społeczeństwa i narodu staje się niepożyta. Człowiek porządny, wychowany w poczuciu obowiązku, nie opuści nigdy posterunku ani pola walki; potrafi umrzeć z żołnierską prostotą, nie żądając dla siebie ani gromkich słów podniety, ani fanfar nad grobem. Naród, w którego duszę wszczepiony jest kult obowiązku, ma armię bitną i stojącą



na wysokim poziomie moralnym. Historia nie zna tak wielkiej przemocy fizycznej, która by mogła odebrać miejsce pod słońcem narodowi w pełni zdrowia i krzepoty duchowej.

Odwieczne zagadnienie ducha i materii jest w prawach wojny dawno rozstrzygnięte; chwała Bogu, na wojnie decyduje jakość i charakter, nie ilość, maszyna, narzędzie. Każdemu większemu przewrotowi w technice wojennej towarzyszą zazwyczaj przepowiednie o zaniku znaczenia człowieka wobec potęgi maszyny. Tak jest do pewnego stopnia i obecnie, w epoce lotnictwa, gazów, motoryzacji. Ale i w lotnym płatowcu, i w żelaznym wnętrzu potwornego czołga [tak w oryginale – przyp. red.] tkwi żywa istota, mająca mózg, nerwy i serce. Człowiek jest, był i pozostanie rozstrzygającym czynnikiem obrony narodowej. Dbajmy więc w Polsce o człowieka i patrzmy z ufnością w przyszłość...



2. Plan rozwoju gospodarczego Polski

[Z przemówienia wicepremiera i ministra skarbu Eugeniusza Kwiatkowskiego uzasadniającego utworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego, wygłoszonego 5 lutego 1937 roku na posiedzeniu Komisji Budżetowej Sejmu RP [w:] *Dzieje Polski 1918–1939: wybór materiałów źródłowych*, red. i oprac. Władysław A. Serczyk, Kraków, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1990]

[...] Oto, na pierwszym miejscu musi być postawiony postulat szybkiego wzmocnienia naszej zdolności obronnej i postawienia jej na całkowicie nowoczesnym poziomie technicznym, produkcyjnym i komunikacyjnym.

Po wtóre, musimy ruszyć z martwego punktu dążności ku stworzeniu warunków dla systematycznego uprzemysłowienia kraju, jako praktycznie jedynej, wielkiej i trwałej możliwości dla absorpcji przyrostu ludnościowego, dla trwałego rozładowania bezrobocia, a zarazem dla otwarcia możliwości przetworzenia surowców polskich na wartości wyższego rzędu.

Wreszcie, powstaje postulat takich przeobrażeń struktury gospodarstwa polskiego – gospodarstwa zarówno agrarnego, jak i przemysłowego, by wielkie okręgi gospodarczo bierne zaktywizować, by zatrzeć wielkie różnice ekonomiczne między wschodem i zachodem Polski, by umożliwić przesunięcia w lokalnych dyspozycjach energią mechaniczną, by obniżyć podstawowe elementy w kosztach własnych produkcji, a w ten sposób ugruntować rentowność procesów gospodarczych na drodze wszechstronnego rozwoju, a nie wyzysku.

W krótkości można by zrekapitulować, że cele nasze są następujące: zabezpieczyć i utrwalić pokój, pogłębić, zjednoczyć i rozszerzyć Polskę gospodarczo i społecznie – tak, by mogła zabezpieczyć pracę dla ludzi i udźwignąć poważne koszty, które z tej przebudowy powstaną.

Czyż te proste kryteria nie były dostatecznie uwzględnione w dotychczasowych wysiłkach inwestycyjnych Państwa? Nie, nie były dominantą naszych prac i być nie mogły tak długo, jak długo nie dążyliśmy do stworzenia jednolitego, skoordynowanego planu inwestycji państwowych – jak do niedawna nie były drogowskazem i dla wielu innych narodów i państw. Wysiłki oddzielnych resortów, oddzielnych funduszy i pojedynczych ludzi były ogromne, godne szacunku i uznania i zmierzały często do osiągnięcia najlepszych rezultatów najmniejszym kosztem. Ale charakter tych wysiłków był zgoła inny. Inna była dotychczas podstawa dyspozycyjna, inna hierarchia celów.

[...]



Przez badania, które wciąż pogłębiany i wciąż wzmacniamy obiektywną analizą, dochodzimy do wniosku, że inwestowanie choćby bardzo znacznych kapitałów w sposób chaotyczny, dowolny, wynękany na Rządzie przez zainteresowania lokalne, odsuwa i opóźnia moment generalnego ataku na powszechnie dostrzegane zło. A tym złem jest fakt, że Państwo – jedno z większych w Europie – Państwo, które przed wiekami było potęgą i siłą, które w bitwach zwyciężało i łamało potęgi obce, które dysponuje ludźmi, obszarem i względnym bogactwem surowców – w zakresie walorów gospodarczych w XX w. znalazło się na szarym końcu narodów w Europie.

Im dalej od kilku luźnych ośrodków pewnego tradycyjnego rozwoju gospodarczego, skoncentrowanego głównie na zachodzie Polski – tym braki techniczno-cywilizacyjne są większe, tym narzędzia pracy są prymitywniejsze, tym mniejszy walor reprezentuje praca ludzka, tym głębsze są przeciwieństwa socjalne, tym powszechniejsza jest nędza ludzka i indyferentyzm wobec idei Państwa. Polska B dochodzi aż pod Warszawę i Katowice, a nie kończy się – jak myśleliśmy – na linii Sanu, Bugu i Wisły.

Musimy rozpocząć systematyczny i zwarty marsz przeciwko temu wspólnemu nieprzyjacielowi. Musimy doprowadzić do takiej koncentracji woli i wysiłku, by inwestycja, wykonywana w planowo określonym miejscu, budziła żywy oddźwięk i zadowolenie w całej Polsce. Musimy dojść aż tak daleko, by resorty państwowe przy dyspozycjach finansowych na dany okres inwestycyjny roczny, wyrzekły się egoizmu resortowego wyciśnięcia przy zastosowaniu wszelkich sztuk tej wiedzy „maksimum” środków materialnych dla siebie, a poczęły decydować z punktu widzenia realizacji planu. Musimy dojść aż do tego, by w sporach i dyskusjach przeważała troska o treść, a nie o formę wniosku. Jeżeli te nastawienia są niemożliwe, to niemożliwa jest i walka o zabezpieczenie tych naczelných postulatów i celów, o których mówiłem poprzednio, to niemożliwe jest prawdziwe ruszenie z martwego punktu, choćbyśmy zmobilizowali bardzo znaczne środki materialne.

Nie negując w sposób absolutny szeregu potrzeb lokalnych, nie negując możliwości czy konieczności kompromisu między aktualnymi potrzebami dnia dzisiejszego i planowymi potrzebami przyszłości – w imię naczelných idei wzmocnienia sił i urządzeń obronnych, w imię syntetycznych potrzeb gospodarczych – musimy rzucić pierwsze konkretne hasło: rozbudowy nowego centralnego rejonu przemysłowego.

Tak, jak ongiś całym programem i symboliką polityczno-gospodarczą stało się to słowo: Gdynia – tak dziś stawiamy nowe hasło w programie uprzemysłowienia, które otrzymuje symboliczną i skróconą nazwę: Okręg Centralny – Sandomierz. Dziś okręg ten stanowi większą pustkę programowo-gospodarczą niż ziemie wschodnie,



pomimo iż istniały próby ustawowe ulokowania tam specjalnych gałęzi produkcji. Nie jest on i dziś ani wybitnie rolniczy, ani przemysłowy. Nic ma on fizjonomii gospodarczej, choć w chwilach niebezpieczeństwa, wprost geofizycznie, musiałby się stać ośrodkiem zorganizowanej materialnej obrony. Jeśli tak jest, to tu rozwinąć się muszą nowe węzły komunikacyjne, to w dalszych dyspozycjach gospodarczych muszą nastąpić ważne korektury energetyczne, surowcowe i przetwórcze.

Ale i ściśle gospodarczo okręg ten musi się stać pomostem, który stworzy rynek zbytu i dla płodów rolnych okręgów wschodnich i dla surowców i półproduktów okręgów zachodnich i odbiorcę energii, opartej o siły wodne i ciepłogazu ziemnego, a skoncentrowanej na południu. Można udowodnić materiałem ściśle rzeczowym, że wszelkie wysiłki gospodarczego ożywienia kresów pozostaną w połowie bezskuteczne, jeżeli pomiędzy zachodem i wschodem pozostawimy martwe pustkowia, filtr bezwładu, okręgi przeludnione, nędzne i gospodarczo niezdefiniowane. Można nawet kusić się o dyskusję, że wytrzymałość zewnętrznych granic Polski na naciski będzie tym większa, im twardszy gospodarczo i organizacyjnie będzie kraj, obejmujący okręgi centralne między Sanem i Wisłą.

Drugim hasłem, które musimy – jeżeli nie podjąć, bo ma ono już swoją historię w Polsce – ale ożywić i zaktualizować, to hasło zatarcia układów strukturalnych, wyrosłych pod wpływem i naciskiem interesu państw zaborczych. Żadne z wielkich zagadnień gospodarczych do końca wojny nie zostało i nie mogło być ujęte w skali potrzeb Narodu i Państwa Polskiego. Te przemiany muszą być przyśpieszone i muszą znaleźć konkretny wyraz w nowych poczynaniach inwestycyjnych. Na tych dwu głównych hasłach należy chwilowo skoncentrować naszą uwagę, choć ani w przybliżeniu nie wyczerpują one naszych aspiracji gospodarczych.

Jeżeli chcemy pozostawać w granicach pełnego realizmu (tak, jak pozostaliśmy w ciągu 1936 r. i dziś wszyscy z zadowoleniem patrzymy w przeszłość, że wykonaliśmy nieco więcej, niż zamierzaliśmy i obiecywaliśmy, a nie odwrotnie), to musimy zbadać ten program od strony możliwości finansowych.

Pierwsze zręby rozbudowania przemysłu w tym okręgu – przemysłu, związanego z celami obrony Państwa, z rozbudowaniem dróg komunikacyjnych, uregulowaniem rzek, z doprowadzeniem i rozprowadzeniem gazu ziemnego i energii elektrycznej, muszą pochłonąć sumę ok. zł 3 mld. Nie możemy jednak zaniedbać normalnego programu dróg komunikacyjnych, rozbudowy dróg wodnych, regulacji i melioracji, inwestycji rolniczych, rolniczo-przemysłowych, rozbudowy Gdyni i floty handlowej, akcji budowlanej, akcji wyposażenia miast, niezbędnych urządzeń w całej Polsce i na ziemiach wschodnich, co zaabsorbuje corocznie nie mniej niż



zł 250 mln z funduszy publicznych. Pozostają jeszcze potrzeby specjalne: dotyczą one rozbudowy szkół i niektórych gmachów państwowych, potrzeb obronnych, ześrodkowanych w innych dzielnicach Państwa, a przede wszystkim wykończenia wielu prac, podjętych czasem w ostatnich latach bez należytego uzasadnienia, z punktu widzenia obecnych, nowych kryteriów, oraz potrzeby prac poszukiwawczych i badawczych – choćby w zakresie ustalenia naturalnych bogactw Polski na ziemiach wschodnich i wschodnio-południowych.

Tak więc widzimy, że plan 4-letni, obracający się w granicach sum poprzednio wymienionych dla nowego, szerszego i planowego programu już zupełnie nie wystarcza. W każdym razie, zanim moglibyśmy podjąć wykonywanie planu szerszego i dłuższego, np. 10-letniego, musimy przygotować odpowiednie warunki wstępne. Roboty, wcześniej zaczęte, bez względu na swe walory w przebudowie generalnej, omówionej poprzednio, muszą być wykończone. Ogólne tempo obrotów gospodarczych musi być wzmocnione, gdyż następnie nie należałoby unikać szerokiego współdziałania inicjatywy prywatnej w akcji uprzemysłowienia okręgów centralnych. Przeciwnie nawet, taki właśnie duży narodowy program mógłby regenerować anemiczną działalność prywatno-gospodarczą, mógłby wybitnie wzmocnić polski stan posiadania w przemyśle średnim i wielkim i skierować na inne tory działalność etatystyczną, rezerwując jej najszersze pole w działach: rozbudowy ścisłego przemysłu obronnego, który zasadniczo winien się znajdować w ręku Państwa, oraz rozbudowy wszelkich dróg komunikacyjnych i magistrali elektrycznych i gazowych.

[...] Można oczywiście wywołać szereg wątpliwości i kwestii, związanych z tymi projektami. [...] Ale istota rzeczy pozostanie zawsze w tym, że projektowane prace i cele dojrzały już jako konieczność polityczno-gospodarcza i konieczność socjalna współczesnej Polski. Musimy pozytywnie, spokojnie, z męską decyzją pokonywać coraz większe trudności, jeżeli naprawdę cenimy zdobytą wolność i całość. W bezwładzie i kryzysie wiecznie żyć nie można. Mamy pełną świadomość wagi zagadnienia obrony, zmobilizowanej przez cały Naród. Mamy świadomość, iż musimy uleczyć ostatecznie wszystkie głębokie rany i wszystkie choroby, które powstały w okresie długotrwałej niewoli i rozdarcia. Musimy tworzyć trwałą i mocną więź pomiędzy jedną dzielnicą Polski i drugą, pomiędzy Państwem i obywatelem, pomiędzy gospodarstwem i Narodem.

Polska musi własnym wysiłkiem tworzyć i budować codziennie i z uporem, ze świadomością celu własną nowoczesną organizację polityczną, zdolną do życia, do rozwoju i do wytrzymania wszystkich ciśnień zewnętrznych i wewnętrznych. [...]



[Z przemówienia wicepremiera i ministra skarbu Eugeniusza Kwiatkowskiego o 15-letnim planie rozwoju gospodarczego Polski, ogłoszonego 2 grudnia 1938 roku w Sejmie RP [w:] *Dzieje Polski 1918–1939: wybór materiałów źródłowych*, red. i oprac. Władysław A. Serczyk, Kraków, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1990]

[...] Nowy plan obejmie okres 15 lat i podzielony będzie na 5 okresów 3-letnich – z tym, że w każdym okresie 3-letnim ma dominować jedno z 5 naczelných zagadnień w zakresie inwestycji państwowych i ambicji Narodu Polskiego. Jest rzeczą jasną, iż nie możemy planom naszym nadać cech zbytnej jednostronności. Ten szczególny akcent każdego okresu wyrazi się w tym, że na to właśnie zagadnienie czołowe poświęci się 60% sum, zmobilizowanych na inwestycje i roboty publiczne. Pozostałe 40% obsłuży inne zagadnienia i konieczności publiczne oraz cele pomocnicze w stosunku do celu naczelnego.

Już kilkakrotnie w historii odrodzonej Polski udowodnione zostało w sposób niewątpliwy, że przy koncentracji woli kierowniczej, przy koncentracji pieniędzy i programu powstają dzieła wielkie i montujące siłę moralną, polityczną i materialną Polski. Tak powstał przemysł zbrojeniowy, tak powstała Gdynia, tak realizuje się przebudowa zelektryfikowanego węzła kolejowego w Warszawie, tak powstaje COP, tak powstała Powszechna Wystawa w Poznaniu, tak inwestował się Śląsk, tak właśnie przekształca się Warszawa czy Kraków, tak ma powstać – na 25-lecie Niepodległości – samodzielny wysiłkiem miasta – wielka wystawa krajowa w Warszawie.

Tej właśnie idei koncentracji wysiłku i pieniędzy, ustalenia naczelnego celu, synchronicznego planowania odpowiada na I okres przedłożona przez Rząd ustawa o kredytach inwestycyjnych. Okres I więc obejmie lata 1939–1942, przy czym zadaniem naczelnym będzie dalsza rozbudowa potencjału obronnego. Produkcja ta ma osiągnąć w tym okresie najwyższą doskonałość techniczną i eksportową. Decydujący wpływ na synchronizowanie planu posiadać będzie więc w tym okresie Ministerstwo Spraw Wojskowych – z tym, że co najmniej 60% zmobilizowanych środków materialnych – tak, jak to przewiduje projektowana ustawa – obsługiwać będzie cel naczelný.

W okresie II, obejmującym lata 1942–[19]45, dominować winno zagadnienie komunikacyjne. Koleje, mosty, drogi bite, drogi wodne śródlądowe i kanały, dalszy skok w rozbudowie Gdyni, motoryzacja i lotnictwo cywilne, produkcja samochodów – oto podstawowe cele drugiego okresu.

W okresie III – w latach 1945–[19]48 – sama logika celów narzuci nam nowe potrzeby, które zamykają się w tych dwu słowach: oświata ludowa i rolnictwo.



Nie zaniehbując tych – jakże podstawowych – zagadnień i w innych okresach, w tym właśnie 3-leciu należałoby skoncentrować największe środki materialne na rozbudowę szkolnictwa wiejskiego – powszechnego i zawodowego, na meliorację, na usprawnienie obrotu produktami rolnymi, na spotęgowanie i zróżniczkowanie produkcji rolnej. Cegła, cement i żelazo w budownictwie wiejskim, maszyna w uprawie i produkcji – oto naczelne hasło tego okresu wsi polskiej, pozbawionej młodych analfabetów.

Okres IV miałby wysunąć hasło: urbanizacja i uprzemysłowienie Polski. W tym okresie skoncentrowałyby się wielkie inwestycje miejskie, zagadnienia kultury i oświaty najwyższego rzędu, zagadnienia zdrowotne w miastach, a przede wszystkim ostateczna polonizacja struktury miast polskich.

Wreszcie, w okresie V, sięgającym roku 1954, dominowałaby akcja o ujednostajnienie struktury i dynamiki gospodarczej w Polsce. Byłby to okres walki o zatarcie granic pomiędzy Polską A i Polską B.

Oczywiście, iż przedstawiony schemat działań ma sens ekonomiczny tylko jako linia kierunkowa i programowa. Życie jest bardziej skomplikowane od wszelkich, najjaśniejszych nawet wypracowań teoretycznych na dalszą metę. Realizm zawarty jest tu w planie na pierwszy okres 3-letni, w którym ustala się już szczegółowo rozdział kwot na odrębne grupy inwestycji. Całość zaś wprowadza tylko pewien ład i ustala zasady ogólnej hierarchii i kolejności celów.

Przeszliśmy już okres 20-lecia samodzielności państwowej bez ustalenia planu generalnego. Dziś wiemy, że stosując nowoczesne metody długofalowego planowania, nawet przy użyciu tych samych środków pieniężnych byłibyśmy dziś znacznie bardziej zmobilizowani gospodarczo, niż jesteśmy. Pieniądze, wydawane bezplanowo, wydają małe rezultaty!



3. Szkoła II Rzeczypospolitej

[Michał Komar, Władysław Bartoszewski, *Skąd pan jest? Wywiad rzeka*, Warszawa, Świat Książki, 2006]

O tym, że będę uczył się w prywatnym gimnazjum katolickim, zadecydowała moja mama. Szkoła uchodziła za jedną z lepszych w Warszawie. Jej dyrektorem był ksiądz, ale poza nim i, rzecz jasna, prefektem, uczyli nauczyciele świeccy, ludzie najwyższych kwalifikacji. Łaciny uczył Jerzy Manteuffel, pracownik Uniwersytetu Warszawskiego (brat historyka – Tadeusza i Leona – kardiochirurga). Geografię i biologię wykładał dr Stanisław Sumiński, wybitny przyrodnik, przyjaciel Jana Żabińskiego, poważny działacz Funduszu Obrony Morskiej. Jego syn Michał Sumiński odziedziczył po nim zamiłowanie do zwierząt, był doskonałym popularyzatorem, ale to już następna generacja. Stanisław Sumiński zginął w obozie na Majdanku w 1943 roku. I tam, na Majdanku, zginął również dyrektor naszej szkoły ksiądz Roman Archutowski, znany historyk Kościoła. W 1940 roku został rektorem Seminarium Duchownego w Warszawie. Aresztowany przez gestapo, poniżany, torturowany, w końcu wysłany do Majdanka, zmarł w Niedzielę Palmową 1943 roku. W 1999 roku został beatyfikowany przez Jana Pawła II na placu Piłsudskiego w Warszawie. [...]

Nauczycielem niemieckiego był doktor germanistyki, wiceprezes Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, Tadeusz Mikułowski. Narodowy demokrat, a więc programowo podejrzliwy wobec Niemców, był wybitnym znawcą kultury niemieckiej. Tam panował hitleryzm, on zaś – na przekór – uczył nas wierszy Heinricha Heinego, w Niemczech zakazanego. Dał mi mocne podstawy niemieczyny. Tak mocne, że potem Niemcy dziwili się, skąd tyle wiem o ich języku i kulturze. Tadeusz Mikułowski został rozstrzelany jako „polski podczłowiek” w 1944 roku, w masowej egzekucji w ruinach getta, obok Pawiaka.

Historii uczył nas dr Tadeusz Bornholtz, autor podręczników dla gimnazjów i liceów Był piłsudczykiem. W czasie wojny służył w Drugim Korpusie, potem był dyrektorem polskiego gimnazjum w Szkocji, zmarł w 1966 roku. Matematykę wykładał adiunkt Politechniki, wybitny działacz harcerski Witold Sosnowski. Spotkałem go później w obozie w Oświęcimiu.

Więc tak: byłem uczony przez narodowego demokratę i przez piłsudczyka, i jeśli dzieliły ich różnice światopoglądowe, polityczne, a dzieliły, to łączył wysoki etos wychowawczy, chęć właściwego ukształtowania młodych ludzi w duchu, przede wszystkim, obywatelskim. I katolickim, rzecz jasna, bo do szkoły przyjmowano



wyłącznie katolików – z rozmaitych zresztą środowisk. Byli więc synowie rodzin ziemiańskich i mieszczańskich, w tym rodzin konwertytów bardzo dbałych o wychowanie katolickie. Byli chłopcy z ubogich rodzin rzemieślniczych, choćby Wacek Bojarski, syn właściciela warsztatu rymarskiego na ulicy Bednarskiej, późniejszy redaktor „Sztuki i Narodu”. W szkole panowała atmosfera społecznikowska. Ubożsi uczniowie otrzymywali stypendia.

W 1937 roku, po uzyskaniu tzw. małej matury, przenieśliem się do liceum Towarzystwa Wychowawczo-Oświatowego „Przyszłość” przy ulicy Śniadeckich 17. Było tam dwóch dyrektorów: dr Teodozy Radzikowski, historyk, katolik, bardzo konserwatywny, który później, w czasie wojny, wstąpił do zakonu paulinów, i dr Aleksander Szymankiewicz, polonista, piłsudczyk, a obok nich grupa nauczycieli najwyższych kwalifikacji. Elita nauczycielstwa warszawskiego. Powiedziałbym, że zostałem obdarowany dwiema łaskami. Pierwszą było to, że urodziłem się w niepodległej Polsce. Drugą – że byłem kształcony przez pedagogów z prawdziwego zdarzenia.

To byli ludzie naprawdę interesujący się życiem uczniów, ich rozwojem intelektualnym. Mądrzy i wrażliwi. Kiedy dyrektor ksiądz Archutowski dowiedział się, że jestem miłośnikiem twórczości Bolesława Prusa, kupił mi pełne wydanie dzieł pisarza, dwadzieścia sześć tomów. Spory wydatek, który spłacałem co miesiąc z kieszonkowego. Taką zawarliśmy umowę, dzięki której mogłem nauczyć się czegoś więcej... Z geografii i przedmiotów humanistycznych miałem bardzo dobre oceny, natomiast z fizyki, a już szczególnie z matematyki, było słabo. Nawet bardzo słabo. W 1940 roku w Oświęcimiu, chyba w listopadzie, ciągnąłem w błocie, wraz z innymi więźniami, ciężki walec drogowy. Nieopodal widzę mojego nauczyciela matematyki Witolda Sosnowskiego. Wychudzony, wyniszczony. Nie przeżył zresztą Oświęcimia: zmarł w 1941 roku. Ogłoszono przerwę. Tulimy się do siebie, bo straszny chłód, nacieramy sobie plecy, zabijamy ręce, a on nagle pyta: – Powiedz, czy ty nie mogłeś się tej matematyki nauczyć, czy nie chciałeś? Pedagog, który stojąc na krawędzi życia, śmiertelnie zagrożony, myśli z troską o swoim uczniu! Tak, ja moim szkołom zawdzięczam bardzo dużo.

Dobrzy nauczyciele. Dobre szkoły. Było takich sporo w całej Polsce. I niczym nie ustępowały szkołom w innych państwach europejskich. Mogłem się o tym upewnić, rozmawiając po latach z rówieśnikami z Niemiec, Anglii czy Francji. W roku akademickim 1982/83 byłem stypendystą w Berlinie Zachodnim. Poznałem wówczas nadburmistrza Berlina Richarda von Weizsackera, przyszłego prezydenta Republiki Federalnej. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, ważnych i mniej ważnych, w końcu



o młodości, o szkołach, wykształceniu. On zdawał egzamin maturalny w 1938 roku, ja rok później. Z tym jednak, że von Wezsacker wywodził się z uprzywilejowanego środowiska, z arystokracji, z domu, w którym z pokolenia na pokolenie dziedziczono piękne księgozbiory, ja zaś pochodzę ze skromnej rodziny. Opowiedziałem o programie literatury niemieckiej w mojej szkole. On na to: ...to wcale nie mniej niż u nas. A naprawdę zdziwił się, kiedy zacząłem recytować fragment średniowiecznego tekstu w staroniemieckim. – No tak, pamiętam! – mówi. A ja na to: – Ale mnie tego uczono w polskim gimnazjum!



4. Semper Fidelis

[Józef Wittlin, *Mój Lwów*, Warszawa, Czytelnik, 1991]

Bałabany, Korniakty, Mohyły, Boimy, Kampiany – cóż to za pstrokata zbieranina? To jest właśnie Lwów. Różnolity, wzorzysty, olśniewający jak wschodni kobierzec. Grecy, Ormianie, Włosi, Saraceni, Niemcy lwowieją przy tubylcach polskich, ruskich i żydowskich, a lwowieją „na fest”. A cóż to za lew skrzydlaty tak wyzywająco spogląda znad bramy domu w Rynku nr 14? Usadowił się naprzeciw samego ratusza i drażni oba lwy, strzegące wejścia do magistratu. Pewno dlatego taki dumny, że magistrackie lewki to analfabeci, to kołtuny, a on – lew uczony. Albowiem oparł się na otwartej księdze, w której napisano: PAX TIBI MARCE EVANGELISTA MEUS (Pokój ci, Marku, ewangelisto mój!).

Co to jest? Od tego lwa i od tej łaciny powiało naraz zgniłą wodą, podróżą poślubną, rybami, mątwami, winem, oliwą i glicyniami – i słyszymy na lwowskim Rynku coraz głośniejsze uderzenia wiosł o ciche fale. Słyszymy przeciągły gwizd – to *vaporetti* przybijają do kołychliwych pontonów-przystanków, chmary gołębi biją skrzydłami huczne brawa Ferdynandowi Feldmanowi w roli Shylocka i opadają na dach Prokuracj. „Ach, zejdź do gondoli!”...

Skąd ta Wenecja nad zasypaną Pełtwią? Skąd się przypętał lew świętego Marka? Przysłała go tu ongi Republika wraz ze swoim przedstawicielstwem handlowym i posadziła nad bramą kamienicy Massarich. Widocznie jej się to opłaciło, skoro w dawnych wiekach był Lwów ważniejszym ośrodkiem handlu zagranicznego niż za naszych czasów, kiedy to prof. Henryk Grossman wymyślił Targi Wschodnie na placu Powystawowym.

Mógłbym wymienić jeszcze wiele kamiennych osobliwości Lwowa, chociażby synagogę Złotej Róży przy ulicy Błacharskiej. Kiedyś nawet namawiano mnie, żebym napisał dramat o tej „Gildene Rojze”, co w zgoła szekspirowskich okolicznościach ocalała renesansową synagogę od zburzenia. A któryż miłośnik sztuki może przejść obojętnie ulicą Żółkiewską i nie wstąpić do starej cerkwi światoji Piatnyci? I nie obejrzeć tam wielkiego ikonostasu z XVII w. z siedemdziesięciu obrazami w stylu bizantyńskim? Przy tzw. diakońskich drzwiach były „praznyczki”, czyli obrazy, podawane wiernym do całowania w dni odpustowe... O Boże! Boże Polaków, Ukraińców, Ormian, Boże lwowskich Żydów, wytępionych do szczytu! Bez końca mógłbym wspominać przybytki, które Ci tak hojnie w tym mieście wznoszono, ale czas nagli do bardziej świeckich spraw. Świece się dopalają we



wszystkich kościołach i bóżnicach, noc się przesila i rychło na Strzelnicy zacząć pisać duchy wszystkich kogutów, co zdobyły piersi lwowskich królów kurkowych.

Królów! Królowie! Królewsko-stołeczne miasto Lwów знаło innych królów, nie tylko kurkowych. Kazimierz Wielki bardzo sobie ten gród ulubił, odbudował po zgorzeli, wielu przywilejami obdarzył. Królowa Jadwiga nadała miastu dyplom, w którym czytamy, że „żadnemu mieszkańcowi ani w mieście, ani za miastem żaden gwałt lub uszkodzenie stać się nie ma i wszyscy, tak Rusini, Ormianie, Saraceni jako też Żydzi przy swych prawach zachowani być mają”. Król Jan Kazimierz 1 kwietnia 1656 r. złożył w katedrze łacińskiej swoje pamiętne śluby... A jeśli się zastanawiamy nad skłonnością lwowian do całowania rączek lub przynajmniej do mówienia: „całuję rączki” – to kto wie, czy genezy tego obyczaju nie należy szukać w roku 1658, kiedy to Sejm uchwalił dla posłów mieszczaństwa lwowskiego nie tylko przywilej głosowania na sejmach, ale i całowania ręki królewskiej. [...]



5. „Istniała jednak nadzieja...”

[Witold Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*, Warszawa, Res Publica, 1990]

Ja się bałem w Polsce. Wprawdzie nic wtedy konkretnie nie zagrażało, granice państwa były ustalone, polityka zagraniczna spokojna, sprawy wewnętrzne jako tako uładowane, rządy Piłsudskiego na mocnej podstawie oparte – długodystansowe, a jednak siedziało się jak na beczce prochu. Mówię o sobie. Jedyną bodaj przyczyną tego mego zaniepokojenia było, iż czułem że należymy do Wschodu, jesteśmy wschodnią nie zachodnią Europą – tak, ani katolicyzm, ani nasza idiosynkrazja do Rosji, ani związki naszej kultury z Rzymem, z Paryżem nie mogły nic przeciw nędzy, zżerającej nas od spodu, azjatyckiej... cała nasza kultura była kwiatem u kożucha. I cóż mogłyby zdziałać wyższe warstwy, gdyby nawet wyrzekły się do cna egoizmu i ożywione były najszczytniejszymi zamiarami? Czyż nasze ziemiaństwo, przemysł, inteligencja mogły ruszyć z miejsca chłopu lub tonące w błocie prowincjonalne miasteczka? Sfinansowanie reform zasadniczych było zadaniem stokrotnie ponad siły. Nikt nie mógł nic zrobić. Psioczenie na ludzi tamtego czasu, że nie wykazali dostatecznej inicjatywy, jest dla mnie nonsensem. Polska była młodym państwem, stawiającym pierwsze kroki, Europa była nieuporządkowana, jeśli się nie chciało rewolucji należało starać się łątać dziury, jak się dało, zyskiwać na czasie, czekać aż postęp organizacji i cywilizacji w świecie stworzy lepszą koniunkturę. Co do rewolucji, to trudno było oddawać się złudzeniom: oznaczałaby ona ruinę wszystkiego, co się osiągnęło, utratę niepodległości i panowanie sił niedających się kontrolować a wyzutych z poszanowania człowieka, okrutnych. Istniała jednak nadzieja, że powoli kraj się wydzwignie i włączy w system zachodniego dobrobytu.

Ale powtórzę, co już powiedziałem: owa Polska z pierwszej wojny światowej urodzona, była krajem ludzi sparaliżowanych. Najbardziej żywotne elementy skazane były na tymczasowość i wegetację – wszystko się spychało z dnia na dzień, była to ogólna gra na zwłokę, aż świat się uspokoi, aż państwo się skonsoliduje, aż pojawi się jakaś możliwość manewru. Atmosfera wyczekiwania panowała także w literaturze, wyglądało jak gdyby polscy pisarze nie chcieli przemówić bardziej stanowczo, póki nie będą pewni narodowego losu.



6. Józef Czechowicz

[Z poezji Józefa Czechowicza [w:] *Przez kresy*, wybrał Piotr Szewc, przedmową opatrzył Czesław Miłosz, Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1994]

O matce

rano tęcza na ścianie odbita z lusterka
falisty brzęk zegara wydobywa na jaw
maj się sadem puszystym jak chmura rozcwierkał
w oknie które granicą jest izby i maja

powiewają tu matki ciemne ciche ręce
przebywają tęczowy refleks czy wodospad
nad obrusem ciemniej ciszej i goręcej
mimo zmarszczek szept smutny niemyślaną groźbą

matko zbudzony patrzę spod rzęs trawy leżąc
matko twe siwe oczy płaczą nade mną może wiatr
jestem tu choć daleko na innym wybrzeżu
twój ostatni kwiat

tak mało wiesz o synu chodząc wśród gromnic
tyle że spajam głązy rymów
tyle że nie mogę zapomnieć
płomienia dymu

jak nikt inny jesteś pośród ludzi
mówić cóż mówić drzeć z niemocy słów
żebyś młoda i piękna w uśmiech mogła wrócić
znów



Przez kresy

monotonnie koń głowę unosi
 grzywa spływa raz po raz rytmem
 koła koła
 zioła

terkocze senne półzycie
 drożyną leśną łąkową dołem dołem
 polem

nad wieczorem o rżyska zawadza
 księżyc ciemny czerwony
 wołam
 złoty kołacz

nic nie ma nawet snu tylko kół skrzyp
 mgława noc jawa rozlewna
 wołam kołacz złoty
 wołam koła dołem polem kołacz złoty

[Wiersz *Przez kresy* z muzyką i w wykonaniu Grzegorza Turnaua znalazł się na pierwszej płycie studyjnej artysty *Naprawdę nie dzieje się nic* wydanej w 1991 roku].

Lublin z dala

Na wieży furgotał blaszany kogucik,
 na drugiej – zegar nucił.
 Mur fal i chmur popękał
 w złote okienka:
 gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł. Sam był
 i cisza.



Dokoła
pagórów koła,
dymiąca czarnoziemiu połąć.

Mgły nad sadami czarnemi.
Znad łąki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

Cmentarz lubelski

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: północ, północ!
Dołem
place konopne, lniane,
ulice długie mroku czółna,
lamp łańcuchami spętane.

U krańca Lublina czworokąt czarny,
szumem poemat wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje obsiadły wyspę umarłych.

Aleje głuche mamrocą nocą, jak rynny.
Błady blask gwiazdy samotnej opiera się o cień,
o bluszcz, żałobny barwinek,
paprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stały na piersiach trumien.

Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci zakarbuj, zatnij:
„Oto teraz w prochu zasnę – z prochu wstanę w dzień
ostatni...”



Prowincja noc (fragment)

[...]

4

kamienie kamienice
 ściany ciemne pochyłe
 księżyc po stromym dachu toczy się jest nisko
 zaczekaj zaczekajmy chwilę
 jak perła
 upadnie w rynku lubelskiego miskę
 miska zabrząknie

w płowej nocy
 po kątach nisz głębokich
 po bram futrynach i okien
 załamany bez mocy
 cień fijołkowy uklęknie

gwiazdy żółte które lipcowy żar ściał
 lecą kurzawą lecą
 firmament w złote smugi marszczą
 za trybunałem
 na ślepych szybach świecą
 cichym wystrzałem

noc letnia czeka cierpliwie
 czy księżyc spłynie zabrząknie
 czy zejdzie ulicą grodzką w dół
 on się srebrliwie rozplywa
 w rosie przedświtu w aromacie ziół

jest pięknie



Westchnienie

którem nieraz w księżycu pobiałach przemierzał
urocze miasteczko
włodzimierzu

pod perłowym stepem nieba
kiedy noc majowa
ogrom cerkwi płynął w drzewach
gwiazdy stały w rowach
parowozy gdzieś za stacją
oddychały długo
powiew niósł to i akacją
pachniało nad rzeczką
nad ługą
cień dzwonnicy na ogrodzie
wskazał krzak słowiczy
wołynieje coraz słodziej
pianie okolicy

o miasteczko

[„Nie wieszcz, nie jeden z tych, co wskazują drogę narodom. Uczciwy poeta” – tak zakończył swój szkic o Józefie Czechowiczu Czesław Miłosz. Czechowicz, przedwojenny poeta związany z Lublinem i Warszawą, literacko zaś zaliczany do tzw. drugiej awangardy, zginął 9 września 1939 r. w czasie bombardowania Lublina przez lotnictwo niemieckie].



7. Likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego

[Dokumenty pochodzą z publikacji *Ostatnie dni Uniwersytetu Stefana Batorego. Świadectwo dokumentalne*, zebrał i wstępem opatrzył Piotr Lossowski, wyd. drugie, Warszawa, Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych – Uniwersytet Warszawski, 2012]

Dekret Naczelnego Wodza Wojsk Polskich Józefa Piłsudskiego
z 28 sierpnia 1919 roku o otwarciu Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie

Sławną uczelnię wileńską, przez jezuitów w roku 1570 założoną, przez Stefana Batorego w roku 1578 do godności uniwersytetu podniesioną, przez Komisję Edukacji Narodowej zreformowaną, staraniem Adama Czartoryskiego odnowioną, a brutalną przemocą despoty rosyjskiego bezprawnie w swych czynnościach zawieszoną, powołuję po kilkudziesięcioletniej przerwie do wznowienia wiekopomnej działalności, żeby w imię prawdziwej swobody nawiązać odwieczną, złotą nić cnoty, wiedzy i kultury, zerwaną dzikim gwałtem.

Wszechnica Wileńska, w której berło rektorskie dzierżyli Piotr Skarga, Jakób Wujek, Jan Śniadecki, w której nauczali Sarbiewski, Jędrzej Śniadecki, Lelewel, w której czerpali swą wiedzę Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, Zan, Pol, Odyniec, Chodźkowie, Narbutt... ponownie otworzy dla młodzieży swoje podwoje w październiku 1919 roku.

„Taką zwykła być Rzeczypospolita, jakimi są obyczaje i ukształcenie jej obywateli” – pisał Jan Zamoyski, zakładając wszechnicę w Zamościu. Słowa te powinny być drogowskazem dla mistrzów i uczniów odnowionej teraz wszechnicy.

Oby Uniwersytet Wileński, rozpoczynając nowy okres swych dziejów, pomny świetnej swej tradycji, zajaśniał nowym blaskiem, oby stał się według słów Tadeusza Czackiego, wyrzeczonych do uczniów Szkoły Krzemienieckiej, „świętynią cnoty, a przybytkiem nauk”. Niech promienieje kulturą w jak najszerze kręgi, podnosi obyczaje i kształci umysły młodzieży, garnącej się pod jego opiekuńcze skrzydła i niech będzie jedną z tych wielkich dróg świetlanych, wiodących ludzkość do poznania prawdy.

Aby zaś żyła w nim pamięć tego, kto pierwszy oddał w ręce tej uczelni berło akademickie, ten uniwersytecki symbol władzy ducha nad życiem, niech nazwa odradzającej się wszechnicy po wieczne czasy brzmi:

„Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie”



Warszawa, dnia 28 sierpnia 1919 roku

Józef Piłsudski

Naczelny Wódz

[Z artykułu Vincasa Rastenisa pt. *Tolerancja w Wilnie! Funkcjonowanie uniwersytetu – bezprawiem! Dość już tej tolerancji!*, ogłoszonego w czasopiśmie „Vairas”, Kowno, 16 XI 1939, nr 44].

Dochodzą słuchy, że Uniwersytet Wileński działa. Jak działa, dokładnych wiadomości nie mamy, ale jest faktem, iż profesorowie wygłaszają wykłady, a studenci uczęszczają na nie.

Co to oznacza? Prawdopodobnie jest to niedopatrzenie funkcjonariuszy odpowiednich władz. Gdyż szkoły wyższe na Litwie reglamentowane są przez specjalnie wydane ustawy, dotyczące każdej z nich. Polskie ustawy w Wilnie utraciły moc prawną, nowej ustawy o Uniwersytecie Wileńskim na Litwie jeszcze nie ma – a więc jakim prawem były polski uniwersytet może jeszcze cokolwiek robić? Czyżby nikt nie miał odwagi wyjaśnić profesorom tę sytuację prawną?

To już przekroczenie granic tolerancji, to już jakieś nieporozumienie...

[...] Sytuacja obecnego Uniwersytetu Wileńskiego musi być jasna: on utracił podstawy legalności, a więc niczego nie może robić. Jedynym jego działaniem powinno być przekazanie gmachów, majątku i dokumentów odpowiednio upoważnionemu przedstawicielowi Ministerstwa Oświaty, gdyż państwowa instytucja i jej mienie należą do państwa.

Słychać, iż większość profesorów i studentów Uniwersytetu Wileńskiego – to osoby, które nie mogą liczyć na otrzymanie obywatelstwa Litwy. A więc już tylko ta kwestia likwiduje uniwersytet, gdyż większość studentów i profesorów tak czy inaczej będzie musiała wyjechać. Pozostałym, którzy zechcą ukończyć studia, nasz uniwersytet określi porządek tego i warunki. Nie zdziwi jeśli studentom zabierze to i rok. Ale można sądzić, że studenci innych uniwersytetów polskich jeszcze więcej zmitrzą czasu.

A więc z personelem byłego Uniwersytetu Wileńskiego, jak widać, nie może być jakichkolwiek rozmów jak tylko o przejęciu mienia, jeśli ten personel pragnie ułatwić ten proces. Jakikolwiek dopuszczanie dalszej działalności byłego uniwersytetu przekracza normalne ramy tolerancji i nie byłoby ani zrozumiałe, ani usprawiedliwione.



[Protest asystentów Uniwersytetu Stefana Batorego przeciwko likwidacji USB, Wilno, 15 grudnia 1939 roku]

Opuszczając dzisiaj pod presją władz litewskich zakłady naukowe, w których pracowaliśmy do chwili obecnej, my, asystenci Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, stwierdzamy:

1) Rząd litewski, likwidując uniwersytet polski, niszczy w Wilnie placówkę kulturalną polską o dużym dorobku naukowym i w ten sposób wyrządza szkodę samej nauce.

2) Przy tej likwidacji stosuje metody bezwzględne tak wobec pracowników naukowych, jak wobec młodzieży, której uniemożliwia ukończenie rozpoczętych studiów.

Przeciwko temu składamy w obliczu całego świata kulturalnego UROCZYSTY PROTEST.

[Protest Senatu Uniwersytetu Stefana Batorego wysłany do profesorów uniwersytetów całego świata, Wilno, grudzień 1939 roku]

[...] Przez cały okres istnienia od 1919 roku pracownicy naukowcy Uniwersytetu Stefana Batorego ogłosili około 7500 publikacji w języku polskim i językach obcych, było immatrykulowanych 14 033 studentów, wydano dyplomów doktorskich 778, magisterskich 4619.

Te liczby mówią same za siebie. Czyż potrzeba dodawać, że Uniwersytet Stefana Batorego był głównym motorem życia w mieście, jednoczył we wspólnej pracy naukowej ludzi różnych narodowości, złączonych znajomością języka polskiego. Dość powiedzieć, że w roku akademickim 1938/[19]39 na ogólną liczbę 3110 słuchaczy było 2261 Polaków, 417 Żydów, 212 Rosjan, 94 Białorusinów, 85 Litwinów, 28 Ukraińców, 13 Niemców. Uniwersytet Stefana Batorego skupiał przede wszystkim żywoły miejscowe, skoro na wspomnianą liczbę 3110 studentów: 1620 pochodziło z samego Wilna i najbliższej jego okolicy, 852 z województw sąsiednich (białostockiego, nowogródzkiego i poleskiego), 39 z zagranicy, a dopiero reszta 599 studentów z pozostałych części Rzeczypospolitej Polskiej. Nauka zbliża ludzi i narody, toteż Uniwersytet Stefana Batorego wywierał dobroczynny wpływ w kierunku tego zbliżenia, pracując naukowo nad wieloma zagadnieniami ściśle związanymi z regionem wileńskim, przez co wyświadczał przysługę kulturze wszystkich grup narodowościowych, które skupiał i wychowywał w atmosferze wolności sumienia. [...]



[Po likwidacji wyższych polskich uczelni przez okupacyjne władze niemieckie oraz Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie przez okupacyjne władze sowieckie (zamienionego na uczelnię sowiecką z ukraińskim językiem wykładowym) Uniwersytet Stefana Batorego pozostawał ostatnią działającą polską uczelnią wyższą. Został zlikwidowany przez władze Litwy 15 grudnia 1939 roku].



8. Bruno Schulz i Ostap Ortwin

[Witold Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*, Warszawa, Res Publica, 1990]

Rzecz dziwna – nie mogę sobie przypomnieć, jak zapoznałem się z Brunonem Schulzem. Czy to nastąpiło na jednym z zebrań u Zofii Nałkowskiej? Nie, chyba on zatelefonował do mnie, że czytał mój *Pamiętnik z okresu dojrzewania* i chciałby ze mną pogadać.

Ale mam go w oczach, takim jak go po raz pierwszy ujrzałem: maleńki człowieczek. Maleńki i załężniony, mówiący cichuteńko, niepozorny, spokojny, łagodny, tyle tylko że z jakimś okrucieństwem, z surowością utajoną na dnie spojrzenia, prawie dziecięcego.

Ten człowieczek był najznakomitszym artystą ze wszystkich, jakich poznałem w Warszawie – nieporównanie znakomitszy od Kadena, Nałkowskiej, Goetla i tylu innych akademików literatury, lśniących od honorów, panoszących się w prasie i w salonach stolicy. Proza rodząca się pod jego piórem była twórcza i nieskalana, to był wśród nas artysta najbardziej europejski, mający prawo zasiadać w gronie najwyższej arystokracji intelektualnej i artystycznej Europy. Jednakże, gdy go poznałem – a było to po wydaniu pierwszej jego książki *Sklepy cynamonowe* – Bruno był skromnym belfrem w Drohobyczu, przybyłym na parę miesięcy do stolicy, istotą bezbronną i klepaną po ramieniu. Takim zahukanym nauczycielem z prowincji pozostał aż do tragicznej śmierci w niemieckim obozie [omyłka autora – Bruno Schulz został zamordowany przez Niemców w Drohobyczu].

[...]

I wystarczyło zajrzeć do jego książki, aby objawił się Schulz zgoła odmienny, a majestatyczny, o zdaniu ciężkim i wspaniałym, rozwijającym się powoli jak olśniewający ogon pawi, poeta niewyczerpany w tworzeniu metafor, niesłuchanie czuły na formę, umiejący stopniować, cieniować, prowadzący tę prozę swoją ironicznie barokową jak śpiew. Niejedno z zadań artystycznych, jakie sobie stawiał, było wręcz karkołomne – a karku nie zwicznął. Wszelako w dalszym z nim obcowaniu wykryłem dwie wady, które osłabiały jego zasięg: jedna, że był zanadto poetą i tylko poetą, stąd proza jego, naładowana metaforami, sprawiała po trosze wrażenie pomyłki, chciało się odesłać go do wiersza, który był jego właściwym żywiołem. A druga, że jak wszyscy poeci polscy był zupełnie bezradny poza metaforą, nie umiał sobie dać rady ze światem i nie był w stanie go asymilować – wypracował sobie pewną formę, dosyć wąską acz bezdenną, i nie umiał pisać inaczej ani wyjść poza swoją dosyć skąpą problematykę.



Tacy ludzie zdobywają się na wielkie osiągnięcia, gdy są oryginalni. Ale Bruno posuwał się śladami Kafki, z którym łączyła go krew semicka i choć w niejednym był odkrywcy, trudno nie uznać, iż wizja tamtego zapłodniła i jego świat. Oto czemu nie rokuje światowego powodzenia jego rzeczom, dziś tłumaczonym na obce języki, choć wzbudzają one zachwyt niejednego znakomitego Francuza czy Anglika.

Ze mną różnił się zasadniczo w tym, że ja, równie jak on przejęty formą, dążyłem jednak do jej rozbicia i pragnąłem rozszerzenia mojej literatury, aby mogła coraz więcej zjawisk obejmować – gdy on zamykał się w swojej formie jak w forticy lub jak w więzieniu.

[Andrzej Chciuk, *Atlantyda. Opowieść o wielkim Księżstwie Balaku*, Łomianki, LTW, 2015]

[...] Jeśliby spytać kogokolwiek o Schulza, odpowie na pewno, że Schulz pisał o Drohobyczu, o uroku tej prowincji pełnej martwych i pustych godzin, o ulicach i placach miasteczka, o jego staromodnych sklepach, o śmietnikach zarosłych zielskiem, o „zapomnianej odnodze czasu”. Jednak Drohobycz Schulza, jak wszystko u niego, był innym Drohobyczem niż ten, który znali i widzieli rzeczywiści i normalni drohobyczanie. Śladów prawdziwego, dostrzegalnego dla innych Drohobycza jest mało w jego twórczości, zadziwiająca mało, gdy się zważy, iż Schulz całe swe życie w nim spędził. Nie licząc oczywiście wyjazdów na wakacje (na przykład do Zakopanego i Korostowa), dwa lata spędził w Wiedniu na Akademii Sztuk Pięknych, kilka razy był we Lwowie, u Sandauera w Samborze, może dwa czy trzy razy na krótko był w Warszawie – to wszystko. Raz też wybrał się do Paryża, miano tam tłumaczyć jego książkę. Przerażony wielkim miastem wrócił stamtąd po dwóch czy trzech tygodniach pobytu. Ten najskromniejszy, jakiego tylko można sobie wyobrazić, człowiek miał powiedzieć niemal jak Sacha Guitry: „Wróciłem, bo mnie nikt tam nie zna”.

Schulz urodził się w Drohobyczu w roku 1892. Zginął w październiku 1942 roku od kuli gestapowca w getcie drohobyckim. Było to w czasie pogromu. Rozkaz akcji przyszedł pod nieobecność komendanta gestapo: ten Niemiec lubił i cenił Schulza, byłby go może ocalił, Schulz robił mu bowiem boazerie, malował dlań obrazy, a ten dożywiał i chronił Schulza. Lecz Günther, zastępca Landaua, nie cierpiał Schulza. Nie lubił go za sympatię, jaką ku niemu żywił Landau; sam też miał jakiegoś swego „podopiecznego”, którego Landau zastrzelił po pijanemu. Kiedy więc pod nieobecność Landaua przyszedł telefonogram ze Lwowa o zaczęciu pogromu, Günther bardzo się ucieszył, gdyż pierwszym Żydem, na którego się natknął, był właśnie Schulz.



Wrzasnął: „już teraz cię nic nie uchroni, komendant odjechał! A rozkaz przyszedł!”. Zastrzelił więc Schulza. Później miał wyrzec zdanie zapamiętane przez nielicznych ocalonych z tamtych czasów: „Ty zabiłeś mego Żyda, ja zabiłem twego!”.

Nieraz myślę sobie, jak przypadki okropnie rządzą losami nie tylko jednostek, ale i większych społeczności. Schulz miał już przez przyjaciół z AK załatwiony wyjazd – nielegalny oczywiście – do Warszawy, do Zofii Nałkowskiej, miał już wszystkie papiery gotowe i był spakowany do drogi. Padł od kuli gestapowca na rogu ulic Mickiewicza i Czackiego, obok szkoły, do której chodził za chłopięcych lat – tak zwanej Białej Szkoły im. Mickiewicza – gdy właśnie wyszedł kupić chleb na drogę do Warszawy. Z tym chlebem zginął. Jaki ogromny żal wzbiera w człowieku, że tak niedużo brakowało już, a może Schulz uratowałby się z getta i gdyby żył przez kilkanaście choćby lat, ile mógł jeszcze pięknych rzeczy napisać.

[Józef Wittlin, *Mój Lwów*, Czytelnik, Warszawa 1991]

Tak, cała nasza pamięć powoli staje się cmentarzem. Gdzie ją ruszyć – groby. Groby tych, co zmarli śmiercią „naturalną”, uroczyście pogrzebani i suto oplakani. A jak strasznym garbem wyrosły na pamięci nie wiadomo gdzie i przez kogo wykopane zbiorowe mogiły ofiar ostatniej rzezi! Nad nimi nie płakał nikt. W roku 1939 zginął we Lwowie poeta Stanisław Rogowski. Potem męczeńską śmierć ponieśli poeci i pisarze: Halina Górska, Aleksander Dan, Tadeusz Hollender, Józef Kretz-Mirski, Włodzimierz Jampolski i mój uczeń z gimnazjum, Karol Dresdner. Nie chcąc iść do getta, pozbawił się życia Henryk Balk. Niechaj lwowska ziemia lekką im będzie, jeżeli doznali łaski leżenia w ziemi.

Osobne *ultimatum vale* należy się Ostapowi Ortwinowi. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Katzenellenbogen i śmieszyło ludzi, słabo orientujących się w niemieckim średniowieczu. Stoi nad Renem, jeśli go nie zbombardowano, warowny zamek grafów Katzenellenbogenów z XIV w. Jako „sponsor” największego Niemca w średniowiecznej liryce, Herr Waltera von der Vogelweidego (1170–1230), występuje również jakiś Katzenellenbogen. Ostap Ortwin nie był hrabią, lecz trudniej o bardziej arystokratyczną postać i duszę. A co się tyczy sponsorowania poetom, po prostu tym się trudził. Odkrył Staffa, utorował Stanisławowi Brzozowskiemu drogę do sławy, a zwłaszcza do zrozumienia. Był znakomitym krytykiem, ale nie chciało mu się pisać. A jeśli nawet chciał, nie miał na to czasu, ponieważ bezustannie czytał. Czytał wszystko: od Spenglera i Bendy aż do artykułów wstępnych w każdym piśmie codziennym. Swoje opinie zwykł był wyrażać głośnym krzykiem, od którego



trzęsły się duże szyby kawiarni „Roma”. Tam przeważnie siadywał w godzinach wolnych od pracy zarobkowej. Przed pierwszą wojną był redaktorem wydawnictw Połonieckiego, w czasie wojny austriackim sędzią wojskowym, potem majorem w polskim korpusie sądowym, potem urzędnikiem Targów Wschodnich. Każde zajęcie traktował poważnie i śmiał się z wszystkich i z samego siebie. Tak jak on chyba tylko olimpijscy bogowie umieli się śmiać. Ortwin, ostatni prezes lwowskiego Związku Literatów, był, zdaje się, jedynym polskim pisarzem pochodzenia żydowskiego, przed którym cofały się z rewerencją bałwany antysemityzmu. Zdawało się, że w ogóle jest nietykalny. Wysoki, barczysty, siwy, smagły, z krzaczastymi brwiami i czarnym kozackim wąsem już samą swoją prezencją paraliżował zapędy kanalii. Beształ policjantów, którzy go chcieli legitymować za głośne po nocach wyrażanie się futuryzmowi na sennych ulicach Lwowa. Zbesztani policjacje salutowali go jak najwyższego swego zwierzchnika.

Chodził po Lwowie sobowtór Ortwina, niejaki inżynier Piotrowski. Nawet tak samo się ubierał. Ilekroć obaj sobowtórzy mijali się na ulicy, zdejmowali idiotyczne czarne kapelusze z szerokim rondem. Tak przez wiele lat składali sobie ukłon, chociaż wcale się nie znali. Pozdrawiali tylko swoje podobieństwo oraz świadomość sobowtórstwa. W roku 1942 okazało się, że Ortwin nie jest nietykalny. Wielką i rogatą duszę wypędzili Niemcy z tej „pańskiej” postaci. Jeżeli w zaświatach są kawiarnie, z pewnością w jednej z nich siedzi teraz Ostap Ortwin, zgarbiony nad stosem gazet, tym stosem ofiarnym, na którym za życia złożył własne pisarskie ambicje. I śmieje się głośno spoza płachty „Czasu” lub raczej jakiejś „Bezczasowości”, i czyta, czyta, krzyczy, gromi, i śmieje się z nas wszystkich, aż strop niebieski się trzęsie.

[Urodzony w 1876 roku Ostap Ortwin, absolwent prawa na Uniwersytecie we Lwowa, był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli środowiska krytycznoliterackiego miasta nad Pełtwią, odznaczonym Złotym Wawrzynem Literatury Polskiej. W czasie okupacji sowieckiej pozostał na swoim posterunku, nadal urzędując jako prezes Sekcji Lwowskiej ZZLP. Jak wspominał Aleksander Wat: „W jego mieszkaniu był lokal dawnego Związku Literatów. Jak to się wtedy nazywało, Związek Zawodowy Literatów Polskich, Sekcja Lwowska, prezes Ortwin przyjmuje w takie i w takie dni, sekretarz Parnicki o tej i o tamtej godzinie [...]. Gdy założono ten orgkomitet (sowiecki związek pisarzy), Ortwin dostał polecenie, aby rozwiązał związek. Nie rozwiązał. [...] Na początku, w dniach, kiedy miał przyjmować, siedział i czekał na interesantów. Interesantów tych było coraz mniej, bywali, przychodzili, ale coraz mniej. Parnicki też urzędował. [...] Polska inteligencja, ta dobra solidna



inteligencja, niealienowana inteligencja polska, zachowywała się właściwie tak, jak Ortwin. To znaczy kompletnie ignorowała, zamknęła się przed bolszewizmem, przed komunistami” (Aleksander Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, Warszawa, Czytelnik, 1990, rozmowę przeprowadził Czesław Miłosz). Teodor Parnicki, autor licznych powieści historycznych, został aresztowany przez Sowieców i zesłany. Ostap Ortwin zginął z rąk Niemców w rodzinnym mieście w 1943 roku].

